

Gwiazda spada

JALU KUREK

Jalu Kurek

GWIAZDA SPADA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68790-07-8

Copyright (C) Ewa Kurek i Grzegorz Kurek

Projekt okładki: Ewa Hajduk

Foto na okładce: Kraków, lata 70-te XX wieku (NAC)

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Nawigacja:

[Strona tytułowa](#)

[Początek tekstu](#)

[Koniec tekstu](#)

Jest przepiękny dzień, pełen jasności i ciepła. Czuję się świetnie. Ludzie oglądają się za moją nową modną sukienką z żółtej popeliny. Jestem dumna z tego, że zwracam powszechną uwagę. Piersi mam uzbrojone w stanik na fiszbinach, obiekt zazdrości wszystkich kobiet. Jako żona artysty zdaję sobie doskonale sprawę z tego, ile w życiu zawdzięczamy sztuce. Widać po mnie, że mam pieniądze i że jestem zadowolona z siebie.

Podobno tylko głupcy są zadowoleni z siebie. Niech będzie; wolę być idiotką, lecz ładną i elegancką. Nie wiem, na jakiej zasadzie buduje się bomby wodorowe. Ale mam serce; chyba to jest istotniejsza cecha człowieka. Nigdy nie błyszczałam wysokim intelektem, nie mam w ogóle takich ambicji, uważałam je zawsze – może to bluźnierstwo lub staroświecczyzna – za zgoła nieodpowiednie dla kobiet.

Gdzie jest moje miejsce w świecie, w którym rządzi podobno cywilizacja naukowa? Jestem niewolnicą uczucia, instrumentu niedorzecznego jak wszystkie urządzenia datujące się sprzed epoki Chrystusa. Może jestem inteligentna, lecz na pewno nie z wykształcenia. Są we mnie niezbadane moce wyobraźni, które od czasu do czasu jak nagle błyskawice przeszywają moją świadomość. A potem znowu ciemno. Nie ulega wątpliwości, że skrojona jestem na miarę krawca, nie na miarę Fidiasza. Jednak na miarę pierwszorzędnego krawca.

Wieczorem wyszłam ze znajomymi do kawiarni. Mieliśmy szczęście, znaleźliśmy wolny stolik w zatłoczonej sali. Rozmawialiśmy wesoło, ponieważ nastrój był wesoły, paplaliśmy bez przerwy o głupstwach, ponieważ kawiarnia to nie uniwersytet. Jadłam kremówki, paliłam papierosy „stołeczne” w tutkach. Klipsy u moich uszu wykazywały pożądaną ruchliwość i, o dziwo, bućki mnie nie cisnęły. Rozglądałam się po lokalu, który nazywam salą plotkarną. Obiektywnie mówiąc, byłam tu chyba najlepiej ubraną kobietą. Śmiałam się bez przerwy; podobno to jest zajęcie aniołów w niebie. Panie spoglądały na mnie z życzliwością, mężczyźni zaś z oddaniem.

Mój wygląd: lat 24, szatynka, niedużego wzrostu, może należałoby powiedzieć: niska. Ale w znaczeniu: drobnokoścista, filigranowa. Kok upięty nad karkiem, sylwetka szczupła. Twarz pociągła, oczy brązowe, nos nienadzwyczajny, usta grube, mięsiste. Nogi – zgrabne. Mężatka, matka trzyletniej córeczki. Może zanadto się chwalę?

Opowiadałam właśnie znajomym, jak pies mojej przyjaciółki połknął jej zegarek. Wściekła, zbiła psa tak dotkliwie, że natychmiast wymiotował zegarek, który szedł w dalszym ciągu regularnie, nie zatrzymawszy się ani na chwilę w żołądku psim. Bo i niby dlaczego miałby się zatrzymywać? Znajomi proponowali, aby zdarzenie to zakomunikować fabryce produkującej te fantastyczne zegarki.

– To byłaby pyszna reklama. „Nasze zegarki nawet we wnętrznościach żywych organizmów funkcjonują z dokładnością do ćwierć sekundy”.

Drgnęłam. Do kawiarni wszedł mężczyzna słusznego wzrostu, w średnim wieku. Miał popielate ubranie w stalowe paski. Długo szukał kogoś oczyma. Spostrzegł mnie i wolnym, kołyszającym się krokiem zbliżał się do naszego stolika.

Wstałam na glinianych nogach. Miałam wrażenie, że załamią się pode mną, że wpadnę pod stopy ludzi pijących kawę. Mężczyzna przeciskał się ku mnie pomiędzy stolikami. Szatyn, twarz śniada, starannie wygolona, oczy lekko zmrużone z wyrazem zmęczenia. Znam tę twarz tak długo chyba, jak długo istnieję.

– Czemu stoisz, Magda? Siadaj – ryczy Baśka nad moim uchem.

Głos mój odpowiedział jej natychmiast. Był to głos niesamowity, sama wsłuchiwałam się zdumiona w jego brzmienie.

– Poczekaj, muszę pomówić ze znajomym.

Znajomy jest tuż przy stoliku, wpatruje się we mnie. Oczy stalowe, tego samego koloru co garnitur, jakżeby ich nie poznała? Obsypuje mnie gęsiami skórka; ze strachu czy ze wzruszenia? Czuję ją nawet w gardle, nie jestem w stanie wypowiedzieć słowa.

– Madziu, co się z tobą dzieje?

Więc to ten głos kieruje moim życiem. On jeden – w odróżnieniu od wszystkich innych – mówił mi zawsze: Madziu.

– Siadaj wreszcie, Magda, nie wygłupiaj się. Ludzie się gapią. Przestań.

– Jesteś pysznie opalona. Wiem, że byłaś w Zakopanem.

– Zwariowała. Gapi się w ścianę i sterczy jak słup.

– Myślałam o tobie dzisiaj, Orionie. Wiedziałam, że przyjdiesz – wyszeptalam pokornie. Nadal nie poznawałam swego głosu.

– Kopnij ją w nogę, Mela, to usiądzie.

– Poczekaj chwilę, zaraz wrócę.

Utkwił wzrok we mnie, jakby się uczył mej twarzy na pamięć, po czym odwrócił się i już przewijał się z powrotem między stolikami ku wyjściu. Wbiłam wzrok w nie dopitą kawę. Nie patrzyłam za nim: twarz jego noszę stale w oczach, zwłaszcza kiedy je zamknę.

Znamy się od dziecka. To jest Orion, najbliższy mi człowiek z okresu mojego życia na szafie. Bo byłam wtedy dzbankiem glinianym, polanym białą emalią. Trzymano w moim wnętrzu guziki i gwoździe. Muszę opowiedzieć, jak stałam się człowiekiem.

Myślę, że Orion przyszedł w tym celu do kawiarni, aby mi przypomnieć zakurzone istnienie na szafie. Więc znowu ma się coś zmienić w moim życiu, ponieważ tylko w takich momentach zwykł był mnie nawiedzać. Wracałam za każdym razem posłusznie, jak marnotrawna córka, do źródła miłości. On był wyraźnym kształtem mojego marzenia. Urodziłam się bowiem w znaku Oriona, tak jak inni rodzą się w znaku Panny czy Raka.

Nikt prócz mnie go nie widział. To nawet dobrze, ponieważ mężczyźni byliby źli na niego. Zazdrość ich gryzie. Chcieliby mnie mieć wyłącznie dla swoich oczu, rąk, mózgów i serc.

Baśka pęka ze śmiechu.

– Powinnaś pisać, Magda, scenariusze filmowe. Z taką fantazją!

Niczego jej nie tłumaczę. Ona, jak i reszta tych głupców nie zrozumieliby mnie nigdy. Nie dla nich to piszę. Wracam jak obraz do wyobraźni mistrza.

Matka moja była śliczna. Brunetka, o sarnich, smutnych oczach. Mając takie oczy wie się chyba, że całe życie trzeba będzie przepłakać. Była nadzwyczaj nerwowa i wrażliwa. Cała jej rodzina wyemigrowała za granicę, uwożąc swój dobytek w starych koszach i sfatygowanych kufrach do nowej ojczyzny. Ona jedna pozostała w Polsce na życzenie mężczyzny, który stał się podobno moim ojcem. Miał na imię Zygmunt. Nie kochała go i stąd doszłam do przekonania, że ojca właściwie nie miałam.

Ze staroświeckiego domu rodziców wniosła matka do swego nowego mieszkania zakurzony dzbanek emaliowany, zdjęty z szafy. Było w nim pełno guzików najróżniejszego kalibru i gwoździ. Zasadziła w nim wspomnienie przodków, może i wyrzut sumienia dalekich emigrantów.

W tym dzbanku pod powłoką z emalii byłam ja. Widziałam, co się dzieje, słyszałam, co się mówi. To dziwne. Ale tak było.

Któregoś dnia świeżo upieczona mężatka sprzątała mieszkanie. Wysypała ze mnie guziki i gwoździe, długo myła mnie ciepłą wodą. Było mi wtedy bardzo przyjemnie. Usłyszałam głos pełen rozrzewnienia; głos ten był skierowany do mężczyzny siedzącego w kuchni:

– Tak się przywiązałam do tego dzbanka, że nie wyobrażam sobie życia bez niego. Mój najmilszy dzbanuszek!

Poczułam ciepłe, wilgotne usta, które spoczęły na zimnej emalii. Chyba wówczas po raz pierwszy przeżyłam ludzkie uczucia. Pieszczota matczynych ust może sprawić, że uwięzione twarde serce zaczyna bić gwałtownie, tkliwie, po ludzku.

Delikatna ręka postawiła mnie w kredensie, zamknęła drzwiczki. Przestałam widzieć ukochaną twarz, nadal jednak słyszałam miły, melodyjny głos. Wtedy właśnie złapałam się na tym, że nie wytrzymam dłużej wśród talerzy i garnków – że tęsknię za matką.

Następnego ranka kobieta o smutnych oczach zauważyła w dzbanku dziurę. Pamiętam, ponieważ dokładnie to czułam, że dziura powstała w miejscu, w które mnie pocałowały ludzkie usta. Doszłam do wniosku, że wystarczyłoby kilkanaście pocałunków, abym przestała istnieć jako dzbanek.

Obca kobieta, która przecież nie była jeszcze moją matką, jak gdyby wyczuła moje myśli. I znowu na zimnej emalii poczułam pocałunki. Emalia zaczęła pękać od wewnątrz. Rozpadałam się jako dzbanek.

Wiedziałam, że jutro na pewno mama wyrzuci dziurawy czerep na śmietnik mimo swojego doń przywiązania. Oczywiście uczyni to z płaczem. Żegnaj, szafko, żegnaj, kredensie, żegnaj, piękna kobieto, żegnaj, ciepłe życie rzeczy.

To jest ostatnia moja myśl. Ścisłej określając: to była ostatnia myśl dzbanka emaliowanego, podziurawionego matczynymi pocałunkami. Zaczęłam bić ludzkim sercem pod żebrami matki.

Więc to nie frazes, że miłość robi z głazów ludzi.

Przebudziłam się zmęczona w białym niklowanym łóżeczku. Uniosły mnie czyjeś ręce, położyły przy miękkiej kobiecej piersi, bez której nie mogłam się później obejść. Poprzez nabrzmiały worek mleka kontaktowałam się z matką, która przemawiała do mnie cichym, pieszczotliwym głosem. Później i ja nauczyłam się rozmawiać z nią i było nam razem bardzo dobrze. W domu był mężczyzna, którego kazała mi mamusia nazywać tatą.

Tatusz początkowo mało się mną zajmował. Pierwszy raz byłam z nim na spacerze jako trzyletnia dziewczynka. Poszliśmy nad jezioro obrosnięte lasem, ojciec wsadził mnie do łódki, wypłynęliśmy na wodę. Trzymałam w ręce małą laleczkę-Murzynkę. Chciałam jej zamoczyć nóżki i wtedy poczułam, że wypadam z łódki w coś zimnego. Usłyszałam krzyk ojca: „Psiakrew” – i jego duże, żylaste ręce chwyciły mnie za nogę wciągając na powrót do łódki.

Niestety, lalki już nie było. Cóż pocznę bez ukochanej lalki? Zaczęłam płakać, wtedy ojciec uderzył mnie. Pierwszy raz w życiu zostałam uderzona. Nigdy nie był mi bliski jak matka ten człowiek, którego nazywałam ojcem, ale w chwili, kiedy podniósł na mnie rękę, znienawidziłam go. Płakałam w dalszym ciągu głośno, ponieważ zauważyłam, że jest zdenerwowany moim płaczem. Domagałam się natychmiastowego powrotu do mamy. Życie moje stało się naraz puste, bo pozbawione lalki.

Mamy w domu nie było. Znowu zaczęłam płakać. Ktoś zadzwonił do drzwi. Ojciec długo coś w drzwiach rozmawiał, po czym oznajmił mi, że mamusia pojechała do miasta kupić braciszka dla mnie, aby mi się nie nudziło. Najpierw ucieszyłam się, lecz czekając zbyt długo na powrót mamy z braciszkiem, zaczęłam się niepokoić.

– Tatusiu, kiedy mama wróci?

– Może za kilka dni, bo będzie musiała pojechać do innego miasta, ażeby kupić najpiękniejszego chłopczyka dla ciebie. W Gdyni nie ma tak ładnych braciszków, zabrakło. Może w Warszawie będą.

Wieczorem znowu płakałam w łóżeczku, bo nie miałam lalki, z którą zawsze usypiałam. Było mi przykro, że mama dla obcego chłopczyka mogła o mnie zapomnieć.

Rano obudziłam się sama w mieszkaniu. I znowu jako jedyna obrona przed lękiem – płacz. Do pokoju weszła jakaś kobieta i zajęła się mną troskliwie. Powiedziała, że przysłała ją do mnie mamusia, która musiała wyjechać. Odtąd chodziłam z Teklą do miasta, na spacer, po zakupy. Tekla mnie myła, dawała jeść, całowała. Pochodziła ze wsi, bardzo mnie polubiła.

Trwało to kilka dni. Aż przyjechała mama. Bardzo blada. Na ręce niosła w białej poduszce dziecko. Stałam w kącie za szafą, ogromnie ciekawa, jak teraz będzie. Mama spojrzała na mnie, położyła poduszkę na łóżku, podeszła do kąta chwiejącym się krokiem i ucałowała mnie.

– Oglądnij sobie braciszka, Magdusiu.

Kubuś był bardzo mały i bardzo brzydki. Krzywił się, stękał, płakał ciągle, miał twarzyczkę czerwoną, jakby oparzoną. Byłam rozżalona, kiedy rodzice mówili do różnych ludzi, że jest dużo ładniejszy ode mnie. Zazdrość i rozgoryczenie sprawiły, że po paru tygodniach najbliższym mi człowiekiem w domu stała się Tekla. Ona miała zawsze dla mnie dużo czasu, opowiadała bajki, szyla sukienki dla moich lalek. Pewnego razu zapytała, kogo więcej kocham, tatusia czy mamusię. Odpowiedziałam bez wahania.

– Ani tatusia, ani mamusię, tylko ciebie.

Ucałowała mnie serdecznie i kupiła mi tego dnia lalkę-Murzynkę oraz kalejdoskop. Były to moje najukochańsze zabawki, trwałe pamiątki dzieciństwa.

Któregoś dnia ojciec oznajmił:

– Dzisiaj przyjeżdża do nas wujek Edek. Ślicznie gra na harmonijce i pięknie gwizdże. Zobaczysz, jak teraz będzie w domu wesoło.

Miałam cztery lata i chodzenie po ogrodzie za rączkę z Kubusiem było dla mnie nudnym zajęciem. Pomyślałam od razu, że teraz wujek Edek będzie chodził za rączkę z Kubusiem. I bardzo się ucieszyłam, bo to znaczyło, że będzie naprawdę wesoło.

Przyjechał starszy, zniszczony człowiek w zmiętym, połatanym ubraniu. Ojciec kazał mu się wykąpać i włożyć swój garnitur. W nowym ubraniu ojcowskim przybysz wyglądał dość możliwie. Ale wcale nie bawił się z Kubusiem ani ze mną i był w ogóle smutny. Po obiedzie wyszedł do miasta, powrócił w nocy. Wiem, że była to późna noc, ponieważ spaliliśmy wszyscy i w moim nocniczku pod łóżkiem zebrała się spora porcja siusiów. To znaczy, że mama musiała mnie parokrotnie wysadzać przez sen.

Wujek wszedł do mieszkania z głośnym śpiewem, zataczając się na wszystkie strony. Ubranie miał mokre, bo padał deszcz; a także poplamione jedzeniem. Ojciec kazał mu się rozebrać i kłaść się spać. Wtedy wujek uderzył pięścią w stół i powiedział, że nie jest wcale pijany i że będzie robił to, co mu się podoba. Chwycił ze stołu nóż, począł gonić za ojcem. Zaczęłam wrzeszczeć przeraźliwie, że wujek utnie głowę tatusiowi, tak jak Tekla kurze. Wujek podniecony moim krzykiem oraz płaczem mamy złapał za siekierę w kuchni, rąbnął nią w oszklone drzwi. Usłyszałam lament Tekli:

– O Jezu!

Tatusz podbiegł, otworzył drzwi z wybitymi szybami. Ujrzałam Teklę upadającą na podłogę ze skrwawioną twarzą.

– Chryste Panie, Tekla! – zanosila się mama.

Dostałam wymiotów, krzyczałam, aby nie oblewać Tekli zimną wodą, aby jej twarz zakleić plastrem. Przyjechał lekarz, zniesiono Teklę na noszach do auta. Wujek klęczał przed ojcem błagając, aby go własnoręcznie zabił, inaczej wyskoczy sam przez okno. Istotnie co chwila wchodził na parapet, chciał skoczyć z trzeciego piętra. Ojciec podreptał znowu do telefonu na dół, ja zostałam sama z wujkiem, bo mama odjechała z Teklą do szpitala. Myślałam, że umrę ze strachu. Schowałam się pod swoje łóżeczko i wymiotowałam; powalałam sobie koszulkę i rączki. Po pewnym czasie weszło do pokoju dwóch mężczyzn, związali ręce szamoczącemu się wujkowi, sprowadzili go na dół.

Nie mogłam usnąć. Co chwila wydawało mi się, że wujek uderzy mnie siekierą, że Tekla woła mnie do siebie. Potem dowiedziałam się, że byłam chora, że Tekla wróciła z zaklejoną twarzą i że wujek Edek nigdy już do nas nie przyjdzie. Cały czas myślałam o tym, że ojciec okłamał nas twierdząc, że będzie w domu wesoło. Również przestałam wierzyć w

to, że Bóg za kłamstwo karze ludzi, bo przecież tatuś cieszył się zdrowiem i powodzeniem w życiu.

Wracaliśmy z Kubusiem ze spaceru. Tekla opowiadała nam, jak będzie miło na wakacjach; że zobaczymy krowy, owce i świny, że przez cały dzień będziemy mogli gonić po trawie i opychać się jabłkami.

Przed domem spotkaliśmy mamę, która zapowiedziała niespodziankę oczekującą nas na górze. Pobiegliśmy pędem do mieszkania i zastaliśmy przy naszych zabawkach chłopczyka takiego dużego jak ja. Powiedział, że jest naszym kuzynem i że pojedziemy razem na wieś na wakacje.

Janek był bardzo ładny. Miał czerwone włosy i czarne oczy. Polubiliśmy się od razu. Nauczył mnie niepostrzeżenie wypluwać i chować do kieszeni kaszę oraz mięso. Zawsze zostawiałam teraz po obiedzie pusty talerz i mama mówiła, że nareszcie świetnie wyglądam. Dzięki Jankowi potrafiłam unikać rycynusu i lewatywy. Nauczył mnie także mówić pacierz na niby. Klęczałam przy łóżku i cicho ruszałam ustami. Ojciec był wreszcie ze mnie dumny.

Janek potrafił tak świetnie kłamać, że nikt go nigdy na tym nie złapał. Dziwił się bardzo, że ja dotąd tego nie umiem. Kubuś nie bawił się z nami, bo był jeszcze za głupi. Janek przywiózł ze sobą dużo zabawek: bęben, trąbkę, harmonijkę i żołnierzy.

Wyjechaliśmy na wakacje do jakiejś lesistej wsi pod Grudziądzem. Było wspaniale. Łaziliśmy po drzewach i płotach, odbywaliśmy wyprawy po skarby. Raz znaleźliśmy kamień ze złotymi punkcikami. Byłam pewna, że Janek jest genialny, skoro potrafił mi pokazać, gdzie i jak się szuka złota. Kamień nasz schowaliśmy w piwnicy w przekonaniu, że nikt go tam nie znajdzie. Gdy następnego ranka zeszliśmy, aby oglądnąć nasz skarb, stwierdziliśmy z rozpaczą, że go nie ma. Janek orzekł, że ktoś nam ukradł złoto. Byliśmy bardzo zmartwieni. Radość nasza nie miała granic, kiedy znaleźliśmy nasz kamień w kuchni na słoju z kiszonymi ogórkami. Tym razem schowaliśmy go do mojej pończochy i ukryliśmy na samym spodzie walizki.

Tego dnia mama była strasznie zdenerwowana. Drażniło ją wszystko dokoła. Aby się nie narazić na awanturę i ewentualne lanie, uciekliśmy z Jankiem nad stawek. Najpierw skradzionym kozikiem ucinaliśmy trzcinę, a kiedy w południe zrobiło się bardzo gorąco, usiedliśmy w cieniu krzaków. W pewnym momencie Janek spytał mnie, ile mam palców. Nie umiałam jeszcze liczyć, lecz tyle wiedziałam, że dziesięć palców u rąk i dziesięć palców u nóg – to razem dwadzieścia.

Na to Janek powiedział mi z odcieniem wyższości:

– Wy, dziewczęta, macie tylko dwadzieścia palców, a my, chłopaki, mamy dwadzieścia jeden.

– Nieprawda – zaperzyłam się. – Ty jesteś chłopiec, a masz tyle samo palców co ja.

– A bo my mamy jeden palec schowany.

– To pokaż mi.

– Ja ci pokażę, a ty powiesz mamie i będę musiał klęczeć na grochu.

– Nie powiem mamie. Czy ja kiedy mówię mamie, w co my się bawimy? – odparłam urażona. – Nie jestem skarżypytą.

– To ci pokażę – Janek zarumienił się trochę, rozpiął spodenki i pokazał mi dwudziesty pierwszy paluszek.

– Taki palec, phi! – zakpiłam. – Malutki i bez paznokcia.

– Ale jest bardzo przyjemny, gdy się go dotyka.

Rzeczywiście był bardzo gładziutki i miękki. Zabawialiśmy się tak chyba dość długo, bo usłyszeliśmy wołanie z domu na obiad i nim Janek zdążył zapiąć spodenki, stanęła przy nas mama. Widocznie wywnioskowała z sytuacji, na czym polegała zabawa. Bez słowa

wzięła nas za ręce i zaprowadziła do domu. W milczeniu zjedliśmy obiad. Wieczorem po awanturze i laniu okazało się, że był to ostatni obiad Janka na naszych cudnych wspólnych wakacjach.

Pozostałam z Kubusiem przez resztę upalnych dni. Janka odwiozła mama do Warszawy, ażeby mnie nie psuł. Niezależnie od tego sprawdziłam, że i mój brat Kubuś też ma dwadzieścia jeden palców. Byłam tylko bardzo zdziwiona, dlaczego ten dwudziesty pierwszy paluszek służy chłopcom do siusiania.

Wracaliśmy z wakacji do Gdyni. Za kilka dni miałam pójść po raz pierwszy do przedszkola. Tekla opowiadała mi, że są tam olbrzymie szafy pełne ślicznych zabawek i że na śniadanie dają tam codziennie kakao z pianką. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak to będzie i trochę się bałam być przez pół dnia bez mamy, bez Tekli, bez domu. Dostałam nowy, błyszczący fartuszek i filcowe pantofle w woreczku. W przeddzień pójścia do przedszkola pozwoliłam sobie nawet obciąć paznokcie i umyć uszy. W nocy kiepsko spałam. Bałam się, aby nie zasnąć i nie spóźnić się.

W przedszkolu było dużo dzieci. Większość z nich – nieśmiało podobnie jak ja. Byliśmy zakłopotani, nawet strwożeni widokiem zakonnicy, która się miała nami opiekować.

Najgorszy był pierwszy tydzień. Czulałam się obco i najczęściej nie brałam udziału we wspólnych zabawach. Potem już najładniej śpiewałam piosenki, siostra Matylda chwaliła mnie głośno przy dzieciach, a także wobec rodziców; przyzwyczaiłam się powoli do przedszkola. Na święta Bożego Narodzenia urządzono jasełka. Przedstawiałam aniołka i przez cały czas miałam rolę „śpiewającą”. Byłam przekonana, że wyglądam najładniej ze wszystkich dzieci. Po przedstawieniu, przebierając się w szatni, usłyszałam rozmowę matek dwóch moich koleżanek.

- Ta Weronicz dość ładnie śpiewa, ale brzydka jak noc.
- No, biedne dziecko, może kiedyś wyładnieje.
- Ciekawe, z takich ładnych rodziców taka brzydula.
- Najtragiczniejsze te usta. W maleńkiej twarzyczce grube wargi, i to od ucha do ucha.
- Ma dość ładne włosy, same się jej kręczą.
- Skąd, proszę pani! Matka jej nawija na papiloty. Już siostra Matylda zwracała na to uwagę.

Po raz pierwszy w życiu słyszałam rozmowę o sobie. Wybiegłam w koszulce i w majtkach na korytarz, gdzie rozmawiały obie panie.

- Pani kłamie. Nie jestem wcale brzydka. Mama mówi, że jestem najpiękniejszą dziewczynką w Gdyni, a włosy mi się same kręczą – wygarnęłam, co myślę, jednym tchem.
- Ty smarkulo, tak cię uczą mówić do starszych? „Pani kłamie”? Przepraszam mnie zaraz.
- Nie przepraszaj pani, bo pani kłamie.
- Czekaj, ty sobie to popamiętasz. Proszę siostry – zawołała zakonnica w korytarzu – Weronicz zachowuje się nieodpowiednio.
- O co chodzi?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI